

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— 402 — Poznań, 20 listopada 1888 r. — 404 —

Nr. 33.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedplacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedplaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycyi, lub w redakcyi, placą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycya, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ulożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Dokończenie).

GOTLANDYA.

Poemat

Bernharda Elisa Malmström.

Wstawaj, łabędziu mój złotopióry,
Ze wschodniej toni skrzydłami w góry!
Złocisz się w dali po modrej fali!..

Wietrzyk Thyrusa tchem cię owionie
I promykami oplecie skronie. —
Z morskiego łona zarumieniona

Jutrzenka wstaje! — i dziw nad dziwy!
Widzę na morzu obrazek żywy!...
Po wod głębiny Najada płynie!

Białą się wieniec w morzu rozwija,
Sni ponad tonią morską lilija;
U jej kolana srebrzysta piana

Miłośnie do nóg z szumem opada
I na spoczynek się wieczny składa.
Już nie odbiega od tego brzegu,

Który w porannej purpury zwoju,
Ukołysany tutaj w pokoju,
Widzeniem w bieli śni na topieli.

Bóg morza cudną przeczuł w zachwycie,
Zanim poczęła czarowne życie
W swojej osłonie — na matki łonie;

Pieśni jej nucił czarami morza,
Ze aż doń zbiegła młodziechna, hoża —
W jego ramiona uszczęśliwiona!

I jeszcze marzy — i jeszcze śni
Te nieskończonych miłości dni
W światła purpurze — na wód lazurze!

Bóg ją w objęciu swoim piastuje
I wierną branę wiecznie miłuje,
A w każdą wiosnę więzy miłosne

Kruszy gorącym słońca promieniem,
I znów zimowem zakuwa tchnieniem.
Ona wśród toni wiecznie się płoni

I śle do serca w niebiańskie strony
Zza kryształowej morza opony
Pieśń pod niebiosy — przez wichrów głosy!

Marząc, śpiewałem ten sen na jawie,
W świetle go bogów widziałem prawie;
Poranne słońce wysłało gońce,

I pocałunkiem, rzuconym z góry,
Zmazało widzeń moich kontury,
I uleciała Najada biała!

Szukam daremnie — a w wód kryształ
Wyspa przede mną tuż okazała
Roztacza brzegi w wieżyc szeregi...

Ciebie, Gotlandyo, w obrazie śniłem,
Na poły tylko rozmarzon byłem,
Widząc cię w dali — na morskiej fali!...

I zapomniałem we śnie marzenia,
Że w twojej piersi — w sercu z kamienia —
I w twoje mury grzmi pieśń natury.

Że nie żywego serca chorałem
Nastrajać senne widzenia miałem
W obrazek Boży — porannej zorzy!...

W cichej legendzie miłością żyjesz,
Którą kwiatami wspomnienia kryjesz,
I saga wstaje w twe wonne gaje.

Gdy, jak tarczowa ongi dziewica,
Dumnie z wybrzeża podnosisz lica,
Gdzieś silna stała — i zbudowała

Potężne miasto — co na świat słygnie,
A dziś, w poważnej stojąc ruinie,
Śle pod niebiosy swych dziejów głosy!

Ty się osłaniaasz w wspomnienia swoje,
Że czasem zwilży oblicze twoje
Na stare wieści dawnej boleści!

Ale przyszłości wiara goreje
I śni nadzieją — i serca grzeje;
Więc świecisz z morza promienna, hoża!

A doświadczona więzom niewoli,
Budzisz się z wolna do lepszej doli
We czci i sile — na swej mogile!...

Dumna i piękna w swojej żałobie,
Jakżeś uroczą na starym grobie!
Och! twoje chwały już się rozwiały!

I by wśród sennych marzeń pochodu
Śni pochylony gród obok grodu,
Zbrojne w pancerze dawne rycerze!

A jakby skarby w ziemi zaparte,
Lśnią twoich dziejów księgi rozwarte,
W których zakryte runy wyryte!...

Giną, już giną zamglone cienie,
Ale zostanie wiecznie wspomnienie;
Obudzą gromy świątyni łomy!...

Patrz! jak rozdarłe sklepienia Boże
W proch się rozpadną dziś jeszcze może!
Nie! niezłamana budowa Pana!

Czas, oczekując tylko skinienia,
Ramieniem z góry trzyma sklepienia,
W opiekę bierze — i święte strzeże! —

Pomimo gromy — pomimo burze
Aż pod obłoki wysmukłe w górze —
Na gród się wspina święta Karina!

I na kamiennych łukach wzniesiona,
Winem i bluszczem tam okolona,
W zielone zwoje stroi podwoje.

A gdzie pokutnych modlitw chorały
Przed wieki wieków pieśniami grały,
Księżyc i słońce wysęła gońce,

I przez otwarte w górze sklepienie
Dawnej przeszłości rozświeca cienie,
A gwiazdy z góry w te święte mury

Myśl pojednania, myśl łaski Boga
Do święconego zlewają proga
W ten gród prastary wiekowej wiary!

W ten gród, co, w świątyni stojąc koronie,
Najwyższej k'niebu podnosi skronie
Lilii Kariny — w Boże dziedziny!...

Gdy słońce wschodzi w wody zachodu,
Cieniami kryje tajniki grodu,
A księżyc błady dawnymi ślady

Drżącym promieniem patrzy się z góry
W te dawne dzieje — w te puste mury —
W ciemne arkady i kolumnady.

Zda ci się zrazu, że zmarłych woła,
Że słyszysz głuche pieśni dokoła
W zakonnich chórze — i organ w górze!...

Tyś jednak martwa — milczysz kamieniem,
Szkieletem stoisz! — a duch twój cieniem
Nad twoje mury uleciał w góry!...

Jakże inaczej — inaczej było,
Kiedy się wkoło ciebie roilo,
Składając w darze przed twe ołtarze

Pielgrzymią rzeszą ludzi tysiące,
Od wschodu niosąc serca gorące! —
Te dziś nie żyją! — w grobach się kryją! —

Bądź pozdrowiona, Karino święta,
Takiej już nigdy — jak ty podjęta,
Nie spotkam ninie w ruin dziedzinie.

Choć widzę tutaj — widzę dokoła
Siostr twych poważnych wyniosłe czoła —
Co, jak ty, święte — bluszczem opięte! —

Łzę tobie święcę pomiędzy niemi,
Boś najpiękniejsza między pięknymi
W ruin szeregu — na morskim brzegu! —

Złotem, purpurą ongi odziany,
Ty królem morza byłeś nazwany,
Potężny grodzie! — w czasów pochodzie

Ktoż zdarł purpurę? — w perzynę rzucił?
Kto twe świątynie w gruzy obrócił?
Gdzie skarby lśniące? gdzie wojsk tysiące?..

Gdzie żagli twoich biała drużyna?...
Dziś to już tylko s a g a wspomina,
Jakby nieznaną f a t a m o r g a n a!

Och! nie, nieznaną — legenda słynie,
I prawda świeci w twojej ruinie,
Wspomnienia głosy śląc pod niebiosy.

Z dumą układa zamarłe lata
Siły i piękna w te poemata,
A czoło święci laurem pamięci!

Gdy po ubiegłym sławy momencie,
Jak w Syrakuzie, lub Agrygencie,
W czasie powodzi słońce zachodzi. —

Myśl tu odsłania dzieje twe lśniące,
Kiedy liczyłaś żagli tysiące
Nad brzegiem wody — potężne grody,

Które, tu stojąc rzędem wspaniałe,
Kapały stopy w morza kryształe,
A lotne „s m o k i,” na świat szeroki

Sławy i siły twojej wysłańce,
Płynęły morzem na świata krańce,
Jak w mórz zawieje twoje idee!...

Twe lotne „s m o k i,” twe żagle białe,
Jakby łabędzie morza wspaniałe,
Jeden po drugim szły rzędem długim.

Gdy na Bizancjum patrząc rozumnie,
Mierzyłeś okiem twe skarby dumnie,
Bogactwa zwożąc i sławę mnożąc;

A na weneckie patrząc wyprawy,
Nie zazdrościłeś twej siostrze sławy
Na morskim tronie we czci koronie!

Choć z mieszczańskiego rodu poczęty,
Cnotą i sławą klejnot ujęty,
W pysznej koronie zdobył ci skronie,

I uszlachetnił twe dumne czoło!
Blask twój obudził zawistne koło;
Pyszne powstały zazdrosne chwały,

Nie znosząc berła w twej wolnej dłoni,
Wolności w rządzie, lauru na skroni,
Rządu bez Pana wobec tyrana.

Wolnego ducha, co siłę daje,
Nie zna intryga i nie uznaje,
Z cicha nurtuje, a zdradę knuje!...

I padło W y s b y łupem tyrana!
Potęga jego, w gruz połamana,
Szkieletem świeci w dziejów zamieci,

I krwią zalana stannica świata
Gniazdem rozbojów przez długie lata
Stoi w żałobie na ojców grobie!...

Lecz czas łagodzi wszelkie cierpienie,
Skruszył kajdany, rozproszył cienie,
I jutrznia wstaje nad krwawe kraje.

Z jutrzni blaskiem po burz zawieje
G o t l a n d y a dzisiaj w objęcia S v e i
Po falach bieży do swej macierzy,

Ale już dawnych s m o k ó w wyprawy
Nie wskrzeszą z grobu bogactw, ni sławy
Których w ruinie legenda słynie.

W a l k y r i a morza pancerze składa
I skromne dzisiaj gniazdo układa,
Swą przeszłość marzy — lecz gospodarzy —

Tradycją żyje, którą dziedziczy,
Ale rozumnie z czasem się liczy,
A wolność złotą zdobywa cnotą!

Dobywa skarbów pracą na łanie!
Cicha zasługa za laur jej stanie,
Z Bogiem i w Bogu — na ojców progę! —

W sercu się miłość z cnotą związała
I skarb rodowy w niem przechołała,
A w dobrej wierze wspomnienia strzeżel!

Skarbnicę sławy dawnej pamięci
Czynem — nie słowem rozumnie święci;
Więc znów się waży stanąć na straży,

Gdyby spaść miały gromy narodu
I zagrażały nam Orły wschodu —
Potężna wstanie na zawołanie!...

Tys tarczą Svei od wschodniej strony,
Klejnotem jesteś naszej korony,
Perełko morza, Gotlandy o hoża!

Pośród błękitów stoisz na straży,
Kędy się przeszłość z przyszłością waży,
I ojców syny stroi w wawrzyny

Bo dzień zaświta, zabłyśnie zorza,
W której zaświta znów gwiazda morza
Na krańce świata, jak w dawne lata.

KONIEC.



Los ulitował się nad nią.

NOVELKA

z pism pośmiertnych

Pauliny z L. Wilkowskiej.

I.

Przed dwór w Żurowie zajechał koczyc z uprzężą w trzy konie, maści ciemnej, budowy lekkiej, chude a rączce — znane jako wiatskie, nieraz i po mil trzydzieści na dzień ubiedz zdolne. Z koczycy wysiadł barczasty mężczyzna w płaszczu jasno-popielatym, w czapce zielonej z daszkiem. Gdy płaszcz zrzucił, ukazał się frak zielony z guzikami poślaczanymi. Nos płaski, szeroki, zadarty, nieco rumiany, rudawe bokobrody i sprosny wyraz na grubych ustach wyłącznie stanowiły cechy.

Z dworu wybiegł dziedzic włości, pan Jakób Gawrzyński, mężczyzna lat średnich, wysoki, kościsty, twarzy o rysach ostrych a nieprzyjemnych, mimo układnego uśmiechu.

— Radzco najszanowniejszy, kochany panie Archipie! zawołał z rozjaśnionem okiem — witam łaskawę i gościa kochanego!

Cmoknęli się. Poczem gospodarz gościa do pokoju wprowadził. Był to niby salon, w którym adamaszek amarantowy na meblach mahoniowych, dużo spłowiwały, i serwantka w rogu, a na niej świeczniki srebrne, cukierniczka, koszyczki, nalewka i jakieś inne jeszcze sprzęty błyszczące stanowiły ozdoby.

— Panie radzco dobrodzieju, proszę! wskazał gospodarz gościowi honorowe miejsce na kanapie. — A przepraszam uniżenie, że wybiegnę, bo przecież kochany pan Archip wyprzedził pozwoli.

— A no, to i może, bo mamy do pogadania — odrzekł radzco obcym i nieco twardym akcentem.

Gospodarz domu wyszedł. A gdy powrócił, wniosł za nim chłopak w liberyi, widocznie na prędce przywdzianej, butelkę wina na czerwonej tacy, talerzyki poślaczane z bakaliarni i kryształowe kieliszki.

Woznica pana Archipa Nikitowicza, w długiej sukni fałdzistej i małym, niskim kapeluszu okrągłym, w tym czasie wiatskie szybkonogi ku stajniom zawrócił.

Było to w pogodnym dniu sierpnia, a słońce miało się już ku zachodowi.

W pokoiku od tyłu, skąd wychodziło okno na ogród nieduży i niepowabny, lecz zielony, krzątała się młoda i ładna dziewczyna, wzrostu średniego, szczupła i wiotka. Ciemne włosy w składnym ułożeniu otaczały pełne wdzięku oblicze. Oczy duże, siwe, dziwnie rzewnym przemawiały wyrazem. Na drobnych ustach osiadła słodycz, ale i smutek zarazem. Czarną miała sukienkę i biały wkoło szyi wywinięty kołnierzyk.

Pokoik był skromny i zaciszny. Białe łóżeczko stało we framudze za zieloną przysłoną. Perkalowe firanki u okna, a na komodzie porcelanowy bukiet polnych kwiatów nieco dodawały mu barwy.

Panią usiadła z szyciem przy oknie i smętne a dalekie w niebieskawy przestwor wysłała spojrzenie.

Ogród cały stanowiło ulic parę, obsadzonych porzeczkami i agrestem — i kilkanaście drzew starych owocowych. To też duże a piękne oczy dziewczęcia sięgały pola i gdzieś tam spojrzeniem tonęły daleko — daleko!... Pogoniło za niem głębokie, tęsne z młodej piersi westchnienie i ciemnawe zażwało źrenice. W myśli uobecniał się dworek modrzewiowy — tam, poza Niemenem — wśród łąk zielonych i ciemnego lasu. W dworku blada, siwowłosa niewiasta z wyrazem dobroci anielskiej: babka — ukochana babka!... O! szczęśliweż były to czasy, gdy na ławeczce u stóp jej siedząc, kładła głowę na babuńci kolana i serdeczne odbierała pieszczoty... .

Potem posłyszaly stuk podkowy; babka uśmiechnęła się wdzięcznie — dziewczę zapłonęło i młode uderzyło serce. Do pokoju wszedł młodzian wysoki, dziarski, z bujnym, płowym włosom, modrooki, świeżej cery — istny Litwin. Młody wąsik półkolem rumiane znaczył mu usta... .

„Konrad! Konrad!“ — poszepnęło dumające dziewczę jęklawie — „przemięło! zniknęło, jakby złudne majaki!“ — lży obfitym polały się strumieniem — i twarz w miękich ukryła dłoniach.

„Miejęło! zniknęło!“ — Och! bo i jakież to bolesny przebieg nastęcało życie tej młodej dziewczyny! — Matka jej była rodzoną siostrą pana Jakóba Gawrzyńskiego. Poznała młodego Litwina, Wincentego Kirweję, pokochała i zaślubiła — a ten z Sandomierskiego uwioził ją w daleką, grodną okolicę. Małżonkom lat parę upłynęło szczęśliwie bardzo. Bóg dał im córeczkę — śliczną Franię. I mieszkała przy nich matka pana Wincentego, istne błogosławieństwo Boże.

Dnia pewnego pojechał Wincenty do powiatowego miasta i stanął w hotelu. Wyszedł na miasto, a za powrotem przez pomyłkę otworzył drzwi nie do swojego numeru. Pokój ten zajmował właśnie jakiś pułkownik rosyjski z żoną, i oburzony ukazaniem się obcego mężczyzny, podejrzewając może miateżnika — zanim Wincenty mógł słowo przeproszenia wyrzec, rzucił się zajadle ku niemu i w twarz go uderzył. Kirweję na honorze krwawo zraniony bez namysłu raz sromotny w dwójnasób mu oddał. Pułkownikowa zaczęła krzyżeć „gwaltu!“ — zbiegła się służba moskiewska i obkoczyła winowajcę. A pułkownik kazał go położyć i chłostać bez upamiętania... . Nieszczęśliwy skończył pod razami, znać apopleksyą tknięty.

Na wiadomość o tym straszliwym, pełnym grozy wypadku pani Wincentowa w ciężką popadła chorobę, z której wywiązała się trawiąca gorączka i po latach niewiele nędznych zakończyła żywot.

Franię wychowała babka — i dziewczeczka już od chwili pierwszego pojęcia nauczyła się duszą całą nienawidzić wrogów kraju i morderców ukochanych rodziców. Potem poznała Konrada Wolnicza — zrozumiała

się od razu ich serca, a babka z radością pobłogosławiła narzeczoną.

Już był naznaczonym dzień ślubu, gdy Konrada, znać w skutek jakiejś denuncyacji, nagle nocy pewnej do wojska porwano. Rozpacz biednej Frani była nie do określenia — i babka z nią pospołu cierpiała. W parę miesięcy potem odebrały wiadomość, że Konrad przy szczęśliwie nadarzonej sposobności zdołał uciec z nienawistnego szeregu. Dostał się za granicę na galicyjskie Podole, a stamtąd dalej na zachód. Przesłał ukochanej gorące wyrazy niewygasłego nigdy uczucia i dodał:

„Nie mogłem w szarym pozostać płaszczu w szeregu zezwierzęconych kolegów; lepsza śmierć, aniżeli los taki!“

Franię bolała, tęskniła, lecz dziękowała Bogu, że wyzwolił Konrada — polecając wspólne losy wyższemu opatrzności zrządzeniom. Niezadługo potem umarła jej babka, ukochana jedynie, która jej wszystkim była na ziemi. I pan Jakób Gawrzyński przybył, jako krewny najbliższy, by ją do swojego zabrać domu. Pożegnała więc drogi dworek z rozdartym sercem. Pożegnała ukochaną Litwę, a wuj powiozł ją, bezprzytomną niemal, w daleką, całkiem nieznaną jej stronę.

Żurowo przedstawiło się biednej sierocie ze wszelkich odarte powabów. Wszystko ją tam raziło, bolało. Wrzask dalekiego szukał nieba, a dusza wyrzywała się krwawo do ubiegłego szczęścia.

II.

Zmierzchno się. Frania nie widziała dnia ubytku, bo dusza jej nie była w Żurowie — gdy wtem ujrzała przez okno na błękitnie wieczornym jasny sierp księżycy — i trwogą wewnętrzną zadrgnęła. Babka jej żywiła zabobon wieśniaków, że nów, przez okno dojrzany niespodzianie, jest przepowiednią nieszczęścia w ciągu miesiąca. Złożyła dłonie i poszepnęła, jak ją uczono w dziecięcym jeszcze wieku:

Witaj, księżycu,
Na niebie dziedzicu!
Daj w niebie koronę
Na ziemi fortunę!

A potem Anioł Pański z mówiła. — Zaledwo wieczorną skończyła modlitwę, gdy we drzwiach ukazał się chłopak w libery.

— Wielmożny pan prosi — wymówił — by wielmożna panna przyszła nalać herbatę.

Franię powstała i udała się za chłopakiem. Wchodząc do pokoju, poblądła na widok zielonego munduru i zaledwo głową skiniąc zdołała na czołobitny ukłon pana radcy Archipa Nikitowicza.

Pokazała wstręt bolesny. Drżącą dłonią nalała herbatę. Kazała chłopakowi przynieść tacę z zakąskami i wyszła, zostawiając pana radcę przy syczącym samowarze, z którego miał czerpać, o ile mu tylko nieugaszzonego pragnienia starczyło.

— Krasawica! wymówił, chłypcząc ustami i patrzył się za nią. — Prekrasna ta panna Franciszka, chociaż córka miateżnika. No, ale to już dawna awantura! Teraz on pułkownik generałem i wielki z niego człowiek.

— Był to wprawdzie mój szwagier ten Kirwejło — wymówił Gawrzyński przez zęby — ale waryat, szaleniec! Paliło mu się pod czupryną! . . .

— To to to! . . . Krasawica — tylko za blada. Potrzeba jej dodać rumieńca.

Gospodarz uśmiechnął się fatalnie.

Franię nie pokazała się więcej. Pan radca Archip Nikitowicz późno z Żurowa wyjechał. A jak utrzymywali ludzie dworscy — pod wiele dobrą datą.

III.

Dnia drugiego rychło bardzo zbudziła Franię niewykłą wkoło dworu wrzawa. Wybiegła — i wyrzała

przez okno w kredensie; wuj i radca Archip Nikitowicz wsiadli właśnie na bryczkę. Na wóz fernalski nieco ociężałe wsiadali wieśniacy i służba dworska. Psy gończe towarzyszyły orszakowi.

„Polowanie!“ — powiedziała sobie Franciszka i do swojego powróciła pokoju. — „Znać po to wczoraj przybył tu radca.“

Około drugiej godziny z południa cała powróciła czereda. Pan radca zaraz bez obiadu odjechał. Franię to nieco dziwiło, ale rada była z odjazdu niemiłego gościa. Dziwiło ją także, że nie widać zwierzyny żadnej i przypuszczała, że Archip z sobą zabiera wszystko. Wtem dosłyszała z drugiego pokoju, jak radca ochrypłym głosem coś tam prawiąc wujowi, z większym wymówił przyciskiem:

— Order, tabakiera złota, może dzierzawa dóbr, a dla tamtych dwieście rubli. . . .

Zastanowiło ją to powiedzenie, lecz przypuszczała, że spełnienie tych obietnic ma wyjednać przyjaźń serdeczna radcy Archipa Nikitowicza dla pana Jakóba.

Przez dzień wuj unikał jej niby. Służba uwijała się mileząco i ponuro. Wieczorem odebrał pan Jakób jakąś przeselkę przez żandarma od pana radcy. Zamknął się z tą przeselką w swoim pokoju, a potem wydał karbowemu rozkazy. Do siostrzanki o niczem nie mówił, i ona także nie zaczepiała go o nic; nie było zaufania i szereg między nimi stosunku.

Nazajutrz młoda dziewczyna właśnie była zajęta porządkowaniem w pokoju wuja, gdy nadeszła gromada, a karbowy wprowadził do pokoju sołtysa, siwowłosego starca, wysokiego, silnej postawy, i ławnika, chłopca krępego, z długimi włosami ciemnymi.

— Niech będzie pochwalony! . . . pokłonili się dziedzicowi i panience.

— A czy jest gromada? zapytał pan Jakób.

— Jest, wielmożny panie, ot przede dworem — pokłonili się znów.

— Przysłali wam z urzędu gubernatora z rozporządzenia najjaśniejszego cesarza dwieście rubli, jako nagrodę za . . . za ujęcie tego tam . . . tego. . . .

Franię przystanąła, jak gdyby w ziemię wryta — jakby bez uczucia — blada — nieruchoma — jak martwa.

Chłopi spojrzeli na siebie w milczeniu. Sołtys jakoś głową pokręcił. Ławnik czoło włosami zakryte pochylił ku ziemi i niespokojnie przedepnął nogami w dużych, ciężkich butach.

Pan Jakób rozliczał pieniądze na stole.

— To, oj, wielmożny panie, pójdziemy naradzić się z gromadą — przemówił sołtys pierwszy, i szeroką dłonią siwe przegarnął włosy.

— Naradzić się?! powtórzył dziedzic i zmierzzył go wzrokiem surowo-ponurym.

— A jużci, wielmożny panie — pokłonili się obadwaj i wyszli.

Franię ciągle w jednym stała miejscu — a biedne serce uderzało tak silnie, jak gdyby zabić ją miało.

Pan Jakób nie zważał na nią i tylko pieniądze przeliczał.

Po krótkiej chwili chłopkowie wrócili.

— A co? spojrzął na nich dziedzic gniewnie.

— Wielmożny panie — pokłonili się obadwaj.

— Wielmożny panie!

— To i co? Gawrzyński coraz mroczył się więcej.

(Dokończenie nastąpi).



Helena Götzenorff-Grabowska

p. Zofia A.

Od kilku lat spotykaliśmy po rozlicznych pismach niemieckich to nazwisko tak czysto polskie; zaciekał nas przytem i talent młodego kobiecego pióra, rzucający bardzo hojnie w świat pod rozmaitą formą nowelek i szkiców najszlachetniejszych myśli i uczuć perły. Nie znalazłszy zaś dotąd nigdzie w żadnym piśmie polskiem ani wzmianki o istnieniu p. Heleny Gr., ani też tłumaczenia któregośkolwiek z ślicznych jej utworów, sądzę, że nie od rzeczy będzie poznać i łaskawe czytelniki „Domu polskiego“ z tą młodą, sympatyczną autorką, której rozwijający się talent z zalem, niestety! uronił się nam dziwnym tylko zbiegiem okoliczności. Helena Grabowska pochodzi z starej rodziny polskiej, licznie bardzo zamieszkującej W. Ks. Poznańskie, używa tego samego przydomka Götzenorff i pieczętuje się tem samem, co inni jej imiennicy, herbem. Urodziła się na Ślązku z ojca, zajmującego wysoką rangę wojskową w armii pruskiej, i matki Niemki, która prawdopodobnie silnym wpływem, jaki w ogóle matka na dziecię wywrzeć zdolna, sprawiła, że młoda dziewczyna mimo dłuższego pobytu w Wielkopolsce nie starała się przyswoić sobie języka praojców, i stale też pisuje tylko po niemiecku. Lecz mimo tej skorupy obcej krew polska, pulsująca w jej żyłach, odzywa się często; spostrzegamy ją w każdym nad niedolą bliźniego cieplejszem uczuciu, w każdej wznioślejszej i szlachetniejszej myśli. Z znajomością też wielką i lubością kreśli obrazy, zwyczaje i charaktery życia naszego, czy to z obecnych, czy z ubiegłych czasów. Nowelki Heleny Grabowskiej, których dwa tomiki wyszły w Wiesbaden 85—86 r., posiadają dziwny czar; jest to coś w rodzaju miniatur Meissonier'a; w szczupłym, małym obrazku tyle nieraz treści i naturalności, choć porusza często wielkie prawdy życiowe; a taka z nich wieje poczyna, takie to świeże, jak zapach co tylko zerwanego kwiatka polnego. W krótkich tych szkicach zawsze gdzieś ukryta brzmi nuta bolesna, świadcząca wymownie, że młode serce autorki już cierń życia zadrasnął głęboko i pod jego ostrem dotknięciem kłosa dojrzał przedwcześnie — w maju życia — zanim go słońce lipcowe pochyliło ku ziemi.

Styl wszędzie niezmiernie barwny, kwiecisty, płynący żywo i potoczysto, w przeciągu lat pięciu czy sześciu zyskał wielu zwolenników, tak, że Grabowska Helena uchodzi dziś za jedną z najulubieńszych nowelistek w niemieckim świecie literackim i pierwszorządne pisma beletrystyczne otworzyły jej gościnne swe łamy. Obecnie po wystąpieniu ojca z służby wojskowej kwiatka II. Grabowska z rodzicami w uroczym Wiesbaden, gdzie zmieniają się ciągle, jak w kalejdoskopie, publiczność, przesuwające się rozmaite postacie i charaktery pobudzają umysł ten bystry i spostrzegawczy do ciągłej czynności.

Podajemy tu w tłumaczeniu jeden z wspomnianych jej obrazków:

Motylek.

— Patrz, braciszku, jaki piękny, pąsowy motylek upadł tu na moją poduszkę.

— Nieżywy zapewne.

— O! nie, nie, zemdlął tylko biedaczek, podajmy mu cukru w kropelce wody słodkiej, jak wonne kwiatu nektary, i wypuśmy do ogrodu, a ożyje znowu.

— Ależ to jesień, Ludwiniu, kwiatki już wszystkie dawno opadły — nie już nie kwitnie na dworze, zatem i życie motylków się kończy — odpowiedział siostrzyczce brat starszy, student.

— Tak, zapewne, ale tam na dworze nie umierają przynajmniej w więzieniu, z braku powietrza i światła, tylko, że ich czas nadszedł i życie się kończy z woli

Bożej. I zaledwie mała Ludwinia wyniosła słabego motyleka do ogrodu, składając go na listku astra różowego, zaledwie błąd promysek słońca ogrzał martwe jego ciało, aliści życie budzić się w nim zaczęło, zwolna rozposarł skrzydełka i — kołysząc się chwilę nad jasną główką dziewczynki — uleciał wesoło w przezroczyste, jasne etery.

— Widzisz, Robercie, że dobrze zrobiłam, śmiejąc się radośnie, wyrzekła dziewczynka. Może życie jego chwilę już tylko trwać będzie, ale przynajmniej umrze szczęśliwy na wolności, jak rowiennicy jego!

Brat przyznał, kiwnąwszy głową. — Chodź do pokoju, moja ty mądra siostrzyczko, rzekł, tuląc ją czule w objęciach, jesteś tak lekko odziana, a wiatr ostry wieje z północy.

Ludwinia była wątłą istotką, zdrowie jej potrzebowało troskliwości i opieki wielkiej — wszyscy też w domu o tem pamiętali — bo każdy to dziecko słabe, lecz miłe kochał serdecznie.

Po południu, gdy weselej słońeczko na zmartwiałą spojrzęło ziemię, położono Ludwinię na spoczynek w przyległym do werandy pokoju — gdy wtem niespodzianie jaskrawy motylek zjawił się znowu. Drzwi zaledwie trochę były uchylone, on wszakże drogę znalazł i przyleciał do śpiącej dziewczynki. Zbudziła się i nie zdziwiła wcale, ujrawszy go z powrotem; poznała go od razu po płomiennie-szkarłatnych skrzydełkach i paskach złotych po brzegach; uszczęśliwiona przechyliła główkę: — Więc żyjesz jeszcze — o! jak się cieszę i jak się też braciszek ucieszysz!

— O! żyję, a żyję z twej łaski, Ludwiniu, zdawał się mówić motylek — chociaż prawem natury zakończyć się już musi to życie wesołe, to, jak mówiłaś, swobodniej umiera się wśród swoich — na wolności — z Bożej woli; taka śmierć nie jest nam, motylkom, przykrą, bo i nas czeka rychłe zmartwychwstanie. Całą już ziemię nie pokażę ci się wcale, ale skoro tylko pierwsze dni ciepłej wiosny nastaną, ujrysz mnie znowu, a wtenczas odstąpię ci tych jasnych skrzydełek, które ci się tak bardzo podobały.

Ludwinia z radości biła rączkami. — O! jaką to rozkoszą będzie dla mnie, drogi, śliczny motylku, dotrzymaj tylko słowa! Mnie tak trudno chodzić po ogrodzie, tak nuży mnie wszystko, że i całymi dniami zajrzeć do mych kwiatków nie mogę. Powróć się więc do mnie, pamiętaj!...

— O! będę pamiętał, moja ty wybawczyni, i uleciał motylek, bo właśnie matka Ludwini uchyliła drzwi, wchodząc do pokoju.

— Czy spało dobrze dziecko moje?

— O! tak, mameczko, i miałam odwiedziny miłe — posłuchaj tylko

Matka wśród opowiadania dziewczynki smutnie kiwała głową, uśmiech udany pokrywał łzy, które przemocą cisnęły się do oczu i brat słuchał także z niepokojem i niedowierzaniem.

— Śniły ci się bajeczki, dziecię moje, ale sen twój śliczny, przynaję.

Ludwinia wiedziała lepiej, lecz milczała, wierząc, że skoro wiosna powróci, zobaczą i przekonają się wszyscy, że to nie sen!

Zima pełna była bolesnych chwil dla słabej dziewczynki, która czuła się niekiedy bezsilną i musiała w dusznym pokoju a często i w łóżeczku pozostać; przywoływany lekarz radził rodzicom, gdy tylko siły powrócą, wyjazd na południe; siły jednakże nie wracały, a długa, smutna zima mijała powoli. — Zatem nie odjadę i wiosna powróci, i mój motylek powróci — powtarzała Ludwinia zawsze wesoło i cierpliwa. — Gdy ciepłej słońeczko zaświeci i pączki rozchylać się poczną, oj! to już wtenczas mieć będę złote skrzydełka.

Serdeczny braciszek przyniósł jej pewnego dnia coś w pudełku; była to zalepiona w listeczku i przędzy cieniutkiej gąsienica. —

Schowaj ją dobrze i pamiętaj, mówił żartem, iż może tam drzymie twój dobry znajomy i czeka na zmartwychwstanie wiosenne.

Ludwinia cieszyła się bardzo i przyglądała co godzina małej nieruchomej poczwarcie, ale wiosna długo jej nie cuciała. Już ogród jaśniał całym przepychem tysiącznych barw, wynoszono chorą na promienie ożywcze słońca; tęsncem okiem spoglądała dokoła, smutno wzdychając:

— Gdybyż tylko mój motylek zechciał przylecieć i odstąpił mi swych leciutkich skrzydełek. Tak mi pilno pójść zobaczyć kwiatki moje, konwalijki nad stawem i różyczki przy płocie. Wtenczas braciszek brał Ludwinę na ręce i nosił, kędy być chciała.

— O! poczekaj — myślała — gdy tylko skrzydełka mieć będę, nie dogonisz mnie.

I przyszedł dzień, gdzie lekarz zakazał Ludwini do ogrodu wychodzić:

— Ma febrę, gorączkę, rzekł i długo zapisywał coś na wązkim papierze.

— Gorączka — febra! mateczko, co to jest? pytała ciekawie dziewczynka — mnie nic nie boli; mam, nie patrz tak smutno na mnie. Widziałam dziś pierwszego motylka i czuję że i mój nadleci niedługo. Może jutro przy święcie wyfrunę do ogródka, przecież mi tego doktor nie wzbroni.

I motylek przyleciał rzeczywiście, przyleciał wieczorem, gdy matka przy łóżeczku Ludwini zdrzemnęła się na chwilę.

— Czekasz na mnie? zapytał, a czy bać się nie będziesz, gdy się uniesiesz wysoko ponad trawki i kwiatki ogródka?

— O! nie, nie, bylebym mateczkę i braciszka zobaczyć mogła.

— Zobaczysz ich, odparł motylek, i skrzydełka jego szkarłatne rosły, rosły i odczepiały się powoli.

— Mamo, mateczko, woła dziewczynka, wyciągając rozpalone rączki do matki, ot! motylek przyleciał, przypina mi swe skrzydełka, potrzymaj mię trochę, takie nóżki słabe...

— Dziecino, kochanie, ty marzysz we śnie.

— Ależ nie, mam, patrz, jaki on wielki, a te skrzydełka jak piękne, tak się świecą, jakby z promieni słońca utkane; i śmiała się dziewczynka i cieszyła, bo motylek już przypiął jej skrzydełka do ramion i cieszył się także, że jej tak pięknie z niemi.

— To przeznaczenie twoje — nosić skrzydełka — nie potrzebujesz odtąd z takim mozołem po ziemi chodzić. I uczyła Ludwinia, że się unosi tak lekko i miło, już ponad głową matki i braciszka, pochylonego przy lampie nad książką, i ponad ogrodem, który przy zmroku wieczornym zanurzał się strojny w królewską szatę w woniach cudnych bzów i jaśminów. Jak pięknie patrzeć, gdy na granatowym tle nieba aniołkowie jedną po drugiej gwiazdki zapalają.

— Dobrze ci teraz? pytał motylek przytulonej do jego boku.

— Och! dobrze i pięknie, i lekko i słodko, jak nigdy w życiu, dziękuje ci, złoty mój, dobry motylku — zawołała Ludwinia głośno..... i płynęła wysoko daleko, co raz to wyżej i dalej!... Nazajutrz wpadła Robertowi w ręce poczwarka — była pustą — bez życia — jak siostrzyczka, co leżała blada, nieruchoma na jasnym posłaniu. — Zmartwychwstała i uleciała do nieba! — zawołał z głęboką boleścią w sercu, ale i pociechą w duszy...

Odkąd zakwitła zielenią wiosna, nie przeleciał żaden motylek, żeby Robert nie poczuł, iż to pozdrowienie od tej duszyczki świetlanej, co tak swobodnie uleciała do nieba, iż on wysłannikiem z tej krainy szczęścia, gdzie wieczna panuje wiosna!



Przyzna niezawodnie każdy, że sztuki francuzkie były i są u nas bardzo lubione i chętnie na scenie widziane. „Śmictanka“ — jak to mówią — naszego towarzystwa z prawdziwą przyjemnością zawsze na nie dąży; dla czego?... może to jest jeszcze wadą po przodkach odziedziczoną — bądź, jak bądź, fakt niezbity, że na każdym przedstawieniu salonowej komedii francuzkiej widzimy łoże parterowe i I-go piętra przepelnione zwłaszcza ślicznymi twarzyczkami naszych Wielkopolanek, wpatrujących się z natężoną uwagą w scenę, jakoby się chciały tam dopatrzeć owej znamionującej Francuzów elegancy i wykwintnych form. — I tak pospieszyła *elita* naszego towarzystwa na sobotnie w d. 10. b. m. przedstawienie „Safandulów“ Sardou. Lecz jakie rozczarowanie nastąpiło już po I-szym akcie!... Wobec zdziwionego księcia de la Rochepéans, arystokraty z krwi i kości, widzimy jegomości szlafrokowego, Fromentela, zachowującego się w ten sposób, że nie potrzeba było księcia, lecz z pewnym stopniem cywilizacji mieszczanina, aby panu Fromentel drzwi pokazać.

Pan Trapszo chciał widocznie rolę Fromentela, kupca i rewolucjonisty z 30 r., wynieść do potęgi, a zrobił z niej — zdaniem naszym — karykaturę. Zwłaszcza w salonowych, eleganckich komediach, do jakich niezaprzeczenie zaliczyć można „Safandulów“, potrzeba w pierwszej linii unikać szarżowania i przesady. Nie łatwiejszego, jak zrobić z oryginała błazna, a chodzi właśnie o to, aby charakter pierwszego ze śmiesznej strony uwydatnić, a jednak nie przesadzić. Scena zaś przed kominkiem w III-cim akcie nie była śmieszna, ale po prostu nieestetyczna.

Pan Janowski w roli Marcelego Cavalier od każdym względem nas zadowolil; scena zaś oświadczenia się o rękę Małgorzaty była odegraną z życiem i głębszym uczuciem młodzieńca, prawdziwie zakochanego.

Pani Czaplinska w roli uroczej dziewczki, Małgorzaty, miała świetne pole do popisu, tymczasem grała w ogóle zbyt monotoniem, w akcie III-im zwłaszcza wypadł ostatni monolog jednostajnie i blade.

Panu Skirmuntowi, jako chirurgowi wojsk z czasów wielkiej rewolucji francuzkiej, najpoważniejszemu wiekiem z trzech przedstawionych safandulów-oryginałów, przyznajemy, że miał w grze swojej szczęśliwe chwile, całości jednak również zarzucić tym razem musimy brak życia, pewności siebie i w ogóle owego *feu sacré*, jaki zazwyczaj znamionuje grę tego zdolnego i myślącego artysty.

Pan Siedlecki w roli margrabiego de la Rochepéans ze wszech miar zadowolil słuchaczy; gra jego przede wszystkim odznaczała się dobrze pojętym i umiejętnie zastosowanym spokojem i godnością, o których nie zapomiał artysta nawet w chwilach silnego wzburzenia.

Z mniejszych ról wiele do życzenia pozostawiała rola Urbana; (p. Staszewski) pominawszy — o czem już wspomnieliśmy przeszłym razem — niewyrobioną dykcją, niedostawało Urbanowi owej rzutkości, lekkości i giętkości, jakie znamionować były powinny wesołego, swawolnego młodzieńca.

W sobotę, d. 17 bm., mieliśmy sposobność ujrzeć znów na scenie naszej od dawna już niegraną komedią Scribego, „Szkłanka wody“, dla tego pozwolimy sobie choć w kilku słowach treść jej przypomnieć Czytelnikom naszym. Młody Anglik, nazwiskiem Masham (p. Janowski) dostaje się przez wpływy i protekcyę księżnej de Malborough (p. Janowskiej) zakochanej w nim od pierwszego wejrzenia, na dwór królowej Anny (p. Pankiewicz), która się także jego wdziękami zachwyca. Do grona dam dworskich przyjęto, — również przez protekcyę — narzeczoną Mashama, p. Abigail (p. Czaplinska), krewną daleką ks. de Malborough, nie wiedząc nic o wzajemnych uczuciach tych kochających się istot. Po różnych intrygach wice-

hrabiego de Bolingbroke, którego kuzyn w pojedynku za zniewagę przez Mashama został zabitym, udaje się wreszcie zakochanej parze połączyć się związkim małżeńskim.

Jesteśmy w prawdziwym ambarasie, co powiedzieć o grze artystów. Wszakże pierwszą zasadą gry jest dokładne wyuczenie się roli — pod tym zaś względem przedstawienie sobotnie robiło na nas wrażenie pierwszej nieudanej próby. Zbyt częste pomyłki różnego rodzaju, przystem każenie ojczyjstego języka niepoprawnemi wyrażeniami i zwrotami przypisujemy jedynie bardzo niedostatecznemu wyuczeniu się ról.

Na wyróżnienie zasłużyli tylko: p. Janowski, jakkolwiek liryczna rola Mashama nie odpowiadała kierunkowi jego zdolności artystycznych — i p. Skirmunt, który z ogólnej powodzi niepowodzenia ocalenie zawdzięcza wyłącznie znakomitej swej rutynie scenicznej.

Na niedostatki gry reszty pań i panów zwracamy uwagę szan. dyrekcji i reżysery i prosimy w imieniu niezadowolonej publiczności, aby raczej rzadziej przedstawiano nowe sztuki, dając artystom czas do nauczenia się ról i wystudowania charakterów ku prawdziwemu użytkowi zgromadzonego audytorium.

Pozwalamy sobie przypomnieć z tego miejsca i przy tej sposobności, że teatr poznański to jedyny w grodzie naszym „przybytek sztuki“, w którym gromadzi się publiczność, aby — czy to po pracy i trudach codziennych, zatem w celu wytchnienia, czy po nudach beczynnych, a więc w celu zajęcia umysłu — otrząsnąwszy się na godzin kilka z tego i owego i usposobiwszy świątecznie — posłyszec w onym „przybytku“ słowa piękne i podniosłe, porywające, wstrząsające dusze i rozgrzewające serca. Stąd między scenami polskimi teatr nasz odrębnie zajmuje stanowisko, a zadanie kierowników jego i artystów nader jest ważne.

Przynajemy, że ogół publiczności naszej, niewykształcony artystycznie, ani krytycznie, nie patrzy na budowę utworu, ani na grę artystów; że go więcej zajmuje ogólna treść sztuki, aniżeli jej wykonanie, że, gdy się dowiedzia, iż się bohaterowie pobrali, albo pozabijali, nie dba o resztę, opuszczając teatr — alez tu chodzi przede wszystkim o zasadę, o celi posłannictwo sztuki dramatycznej.

Wśród licznie zebranej publiczności znajdzie się niejedna natura wrażliwa, którą na wskroś przeniknie serdeczne, gorące a uniejętne wypowiedziane słowo artysty i umiesie duszę tam, „gdzie wzrok nie sięga“, w sercu szlachetne rozbudzi uczucia, nieraz przygaszą rozetli iskry zapalu i natchnienia do spraw znacznych i wielkich! . . .

Ten czar żywego słowa tem silniej na młodzieńcze oddziaływa serca i umysły, to też słusznie nazwał ktoś sztukę dramatyczną „nauczycielem młodzieży, a przyjacielem ludzi dorosłych.“

Z tego zapatrując się stanowiska na sztukę, zanosimy prośbę do szanownych kierowników sceny naszej narodowej, aby w wyborze utworów mieli wyłącznie na względzie prawdziwy pożytek widzów i słuchaczy; a do artystów, aby — pomni na wzniosłe zadanie sztuki dramatycznej, której są niejako kapłanami — nie lekceważyli powierzanych sobie ról, lecz, weciłwszy się w kreacyę, korzystali z wszechstronnego wpływu i potęgi swego słowa. Niech probują, a może zdolni będą:

„własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości“

Niech probują:

„strzelać
Brzmieniem słowy do serca współbraci,
A może jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczyjsta poruszy,
Uczują w sobie dawne serca bicie,
Uczują w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnje przeżyją,
Jak ich przodkowie niegdyś — całe życie!

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Nakładem Kasv „Pomocy naukowej imienia Miadowskiego“ wyszedł piąty tom „Biblioteki filozoficznej“ i zawiera w tłumaczeniu B. Kąsinowskiego: „Fileb czyli dyalog o rozkoszy Platona.“ Przekładu tego z greckiego oryginału dokonał tłumacz pod kierunkiem prof. H. Struvego, redaktora „Biblioteki filozoficznej.“ Dzieło poprzedza przedmowa pióra uczonego profesora, wyjaśniająca zasady, jakich się trzymano w tej pracy. Nadto prof. Struve podał tu życiorys greckiego filozofa, a p. Kąsinowski w obszernym wstępie rozebrał ważniejsze dyalogi Platona i objaśnił jego system filozoficzny.

Drukarnia „Polska“ we Lwowie wydała za staraniem p. Franciszka Kraszewskiego, syna zmarłego powieściopisarza, katalog księgozbioru, rękopisów, dyplomów, adresów i innych pamiątek po tym znakomitym pisarzu. Katalog liczy 14,491 numerów i zawiera w końcu indeks nazwisk autorów. Exekutor testamentu pragnie, aby spuściznę tę nabyła jednostka zamożna, albo Towarzystwo jakie w całości i aby założono w jednym z miast galicyjskich Bibliotekę publiczną imienia „J. I. Kraszewskiego.“ Kandydaci do nabycia „Biblioteki“ w całości, lub częściowo winni się zgłosić do p. Franciszka Kraszewskiego (adres: Kraków, ul. Dolnych młynów, Nr. 47.)

Wyszedł już z druku i jest do nabycia najstarszy z kalendarzy Józefa Ungra. Zdobią go liczne ilustracye i bogaty dział literacki. Księgarnia T. Paprockiego wydała swym nakładem jedenasty już rocznik „Kalendarza powszechnego“ na rok 1889. Oprócz części kalendarzkiej obejmuje „Kalendarz powszechny“ część literacką, na którą się złożyli między innymi: pp. Klemens Junosza i Adolf Dygasiński.

Nakładem p. Lewentala, wydawcy „Kłosów“, wyszły świeżo „Tragedye Sofoklesa“ w przekładzie Kazimirza Kaszewskiego i tworzą jeden z najcenniejszych tomów „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej.“ Przekład p. Kaszewskiego obejmuje wszystkie siedm pozostałych po greckim dramaturgu utworów: Ajas, Filoktet, Elektra, Trachinki, Edyp w Kolonnie i Antygona. Pracę tę poprzedza przedmowa Dr. Piotra Chmielowskiego, podająca ważne wiadomości o wszystkich dotychczasowych polskich przekładach Sofoklesa i rozprawa p. Kaszewskiego o Sofoklesie i tragedyi greckiej. Książka w mowie będąca uważana jest przez krytykę za bardzo sumienne i na artystycznej pracy oparte studium.

Dr. Röppel, znany zaszczytnie historyk niemiecki i bezstronny badacz dziejów Polski, obchodzić będzie wkrótce 80-letnią rocznicę swoich urodzin. Dowiadujemy się właśnie, że poznańskie „Historyczne towarzystwo“, którego uczony dziejopis jest członkiem, wysłała deputacyą z dyplomeim, aby Dr. Röpplowi złożyć wyraz wdzięczności za sprawiedliwe, bez wszelkich uprzedzeń studium o historii naszej.

P. Karol Kozłowski, znany wydawca wielu poważnych i cennych dzieł, albumów i innych pamiątek narodowych, sposobi nowe popularne wydanie „Albumu wojsk polskich.“ Wspaniałe pierwsze wydanie tegoż Albumu przeważnie rysunku artystów: Kossaka i Elisasza, reprodukowane we fotodrukach, z powodu nieprzystępnej dla wszystkich ceny rozeszło się tylko między majątnych lubowników rzeczy ojczyjstych. Drugie przeto wydanie, stosunkowo bardzo tanie, (exemp. po 1 m. 60 fen.) przeznaczył nakładca dla wszystkich klas społeczeństwa. Album zawierać będzie 10 tablic z pięknie w Paryżu wykonanemi drzeworytami rysunku p. W. Mottego. Ryciny przedstawiają kilkadziesiąt postaci wojskowych. Dla objaśnienia dodany jest text, zawierający: Krótki pogląd na wojska polskie od najdawniejszych czasów do 1815 r. — Wybuch powstania listopadowego z r. 1830 r. — Treściwy rys działań wojskowych w r. 1831 z szczegółowym opisem bitw pod Stoczkiem, Dobrem, Wawrem, W. Dębem, Iga-

niami i Ostrołęką. — Piękne przykłady poświęcenia i męstwa żołnierzy polskich. — Pieśni i wiersze, odnoszące się do powstania listopadowego. Album to polecamy gorąco, jako piękny i stosowny upominek na gwiazdkę, mianowicie dla młodzieży naszej, w której dziś mianowicie koniecznie wszelkimi sposobami rozbudzać należy zamiłowanie do wszystkiego, co z sprawą narodową ma związek.

Od 1 stycznia 1889 r. zacznie w mieście naszym wychodzić czasopismo p. n. „Nowiny lekarskie.“ Redakcją jego składają miejscowi pp. dr. Chłapowski, Kaczorowski, Koehler, Święcicki, Wicherkiewicz, Zielewicz i dr. Szuman z Torunia. „Nowiny lekarskie“ wychodzą będą pierwszego dnia każdego miesiąca w zeszytach rozmiaru 2—3 arkuszy druku. Pierwszy okazowy numer wyjdzie 15 grudnia zamiast 1 stycznia. Przedpłata wynosi rocznie 8 m. u nas, 5 złr. w Austrii, 4 ruble w Królestwie Polskiem. — „Nowiny“ wychodzą będą nakładem znanej księgarni J. K. Żupańskiego, którą po blisko 50 latach istnienia nabył, rozprzeździł i przeniósł do pałacu Hr. Działyńskich (przy starym rynku, Nr. 78) p. dr. Zygmunt Celichowski z Kórnika. Przy tej sposobności dodajemy, że nowy właściciel połączył z księgarnią nakładową księgarnię sortymentową, czytelną i ekspedycją pism peryodycznych; przyjmuje nadto zlecenia antykwarskie, jako też wszelkie inne w zakres księgarstwa wchodzące. Listy wysłać należy pod adresem firmy: J. K. Żupański w Poznaniu, albo pod osobistym adresem właściciela: Dr. Celichowski w Kórniku.

Nowela Henryka Sienkiewicza: „Przez step“ została przetłomaczoną na język francuzki.

Rubinstein rozpoczął znów w Petersburgu wykłady historyi i wyższej teorii muzyki na fortepianie. Na prelekcye maestra uczęszcza wielu profesorów konserwatorium.

Klara Schuman obchodziła w Frankfurcie w konserwatorium 60-letni swój jubileusz porankiem artystycznym, w czasie której to uroczystości obsypano jubilatkę mnóstwem kwiatów, wykonano niektóre z jej pieśni i odczytano liczne telegramy i adresa, wyrażające hołdy czci i uznania dla znakomitej artystki.

Magistrat m. Wiednia zamówił u prof. Krudmansa, jednego z pierwszorzędných rzeźbiarzy, pomnik dla Franciszka Schuberta, (1797 † 1828) twórcy „Ständchen“, „Ave Maria“, „Symfonii“ itd. Pomnik w stylu starogreckim przedstawi ulubionego niemieckiego kompozytora w pozie stojącej, ze zwojem nut w rękę; głowę mistrza uwieczny geniusz muzyki.

Warszawska wydawnicza firma Breitkopfa i Haertla przysposabia bardzo ozdobne, kompletne wydanie dzieł Beethovena. Obejmie ono 20 tomów, z których każdy złożony z 10 zeszytów. Wspaniałe to wydawnictwo nabyć będzie można za cenę 200 marek.

Rządowy skarb rosyjski wyznaczył na rok przyszły, 89, subwencją dla teatrów warszawskich w ilości 30,000 rs., a dla instytutu muzycznego 7,600 rs.

Królowie: włoski i grecki nie są zwolennikami muzyki. Ostatni, będąc w Bolonii na przedstawieniu opery: „Il Matrimonio segreto“, wyszedł znudzony po pierwszym duecie do foyer, i prosił, aby go zawezwano na balet, z którego nie chce stracić ani jednego taktu.

W Dolo pod Wenecją wystawiono pomnik Garibaldiemu, a w Padwie Cavourowi. Na uroczystości odsłonięcia pomnika Cavoura znajdował się król Humbert.

Konkurs z nagrodą 3,000 m. ogłosiło niemieckie „Towarzystwo historyczne“ za napisanie „Historii Wielkopolski.“

TREŚĆ: Wyspa Gotland. Obrazek z podróży ułożył hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström (Dokończenie.) — Los ulitował się nad nią. Nowelka z pism pośmiertnych Pauliny z Ł. Wilkońskiej. (Dokończenie nastąpi.) — Helena Götzenorff-Grabowska przez Zofią A. — Motylek. Obrazek p. H. G. — Teatr. — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaite. — Nekrologia. — Promyki. — Łamigłówka. — Listki.

NEKROLOGIA.

Zmarli w ostatnim czasie:

Bolesław Liwski, długoletni współpracownik „Tygodnika ilustrowanego.“ Przeżył lat 78 — † w Odessie.

Wiktor Konning, znany dyrektor teatru „Gymnase“ w Paryżu, umarł w Ameryce, dokąd się udał z trupą dramatyczną francuzką.

Promyki.

(Z „Wypisów“ Maryi P.)

Dziesiąty czyta, setny rozumie, tysięczny pisze, rzecz dziwna, że wszyscy sądzą.

Aleksy Horodzieński.

Nie ma siły, ktoraby zdolną była zabronić żywej istocie kochania.

Jordan.

Patryotyzm źle zrozumiany nie jest dowodem miłości ojczyzny.

Miłość jest ptakiem samowolnym, który śpiewa tylko o swojej godzinie i ściele gniazdko na drzewie własnego wyboru.

Kluczem miłości wszystkie dusze i serca otworzyć się dadzą.

Ojciec daje dzieciom nazwisko — matka duszę i język.

Są rozmowy, w których dusze, spragnione podziału myśli i uczuć, rozszerzają się i wznoszą na skrzydłach zapалу.

Adam Krechowicki.

Każde serce to świat oddzielny.

Rody Broughton.

Gdybym ja gwiazdką była w błękicie,
Nad Twem okienkiem ukryta w górze,
Chciałabym świecić Ci całe życie
I ślać pod nogi miłość i różę.

Maryja P.

ŁAMIGŁÓWKA

(Ułożyła Zofia A.)

Z g ł o s k i : an, bi, ce, ci, cy, da, gra, i, ir, ko, kus, kuck, lo, me, na, o, ron, ulm, wid, wa, za, ży.

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór poetyczny. — 2. Poeta łaciński. — 3. Ptak. — 4. Miasto w Niemczech. — 5. Posiadłość portugalska na wybrzeżach Afryki. — 6. Śpiewak w starożytności. — 7. Sławny mówca rzymski. — 8. Naród słynny z buntów i wojen z Polską. — 9. Miasto w Azji.

Początkowe i końcowe głoski, czytane z góry na dół, oznaczają dwóch współczesnych poetów.

LISTKI.

P. Maryi P. Serdecznie dziękujemy za wszelkie dowody życzliwości dla „Domu polskiego“, również za „Promyki.“ Prosimy o więcej aforyzmów.

P. Julii D. w Gr. Stosownie do życzenia przesłaliśmy zagubione numer „Domu“ pod opaską — polecone.

P. S. K. w M. Poezja winna mieć cztery znamiona: barwę poetyczną, średniówkę, rytm z rymem i wrotki; w Pańskich utworach nie ma z nich ani jednego. Nasza rada: lepiej pisać poprawnie prozą, niż nieudolnie wierszem.

Wielkopolance z pod Wr. Czy Szanowna korespondentka zapomniała o „Domu polskim“? ... przypominamy się i polecamy Jej pamięci. Prosimy również o rozszerzanie pisma naszego wśród przyjaciół i znajomych.